

STANISŁAW DUBIEL

Piąty dzień rozprawy, 15 marca 1947 r.

(Po przerwie).

Obecni jak w pierwszym dniu rozprawy.

Przewodniczący: Wznawiam posiedzenie Najwyższego Trybunału Narodowego. Proszę poprosić świadka Dubiela.

Świadek podaje co do swej osoby: Stanisław Dubiel, żonaty, ogrodnik, wyznanie rzymskokatolickie, w stosunku do stron obcy.

Przewodniczący: Jakie są wnioski co do trybu przesłuchania świadka?

Prokurator Siewierski: Zwalniamy z przysięgi.

Adwokat Ostaszewski: Zwalniamy z przysięgi.

Przewodniczący: Trybunał postanowił przesłuchać świadka bez przysięgi. Upominam świadka o obowiązku zeznawania prawdy i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.

Co świadkowi wiadomo w tej sprawie?

Świadek: W obozie koncentracyjnym znalazłem się 6 listopada 1940 r. po aresztowaniu mnie 11 czerwca 1940 r. za przynależność do polskiej organizacji partyzanckiej na terenie Górnego Śląska. Po przybyciu do Oświęcimia, w początkach marca zostałem wyznaczony jako ogrodnik, ponieważ władałem językiem niemieckim, do ówczesnego Lagerführera Fritzscha, u którego pracowałem jako ogrodnik do późnej jesieni. Następnie zostałem wyznaczony do zastępcy komendanta, Aumeiera, u którego pracowałem krótko, bo mnie przeznaczono do ówczesnego komendanta lagru, Hößa. Mój poprzednik został dzień przed tym, nim zostałem wyznaczony, rozstrzelany. Był to kolega z Krakowa. Na stanowisko ogrodnika dostałem się przede wszystkim dlatego, że żona oskarżonego przyjaźniła się z rodziną Fritzschów, odwiedzali się często i rzekomo moja praca ogrodnicza u Fritzscha bardzo jej się podobała i na tej zasadzie komendant mnie zażądał.

Pracowałem u oskarżonego aż do wyjazdu jego rodziny z Oświęcimia. W tym czasie miałem bezpośrednią możliwość zaobserwowania prawie wszystkiego, co się działo w mieszkaniu: [zarówno] stosunki rodzinne, jak i życie prywatne oskarżonego Hößa. Zastanawiające było, że Höß, który potrafił bez skrupułów dawać rozkazy i być naocznym świadkiem tylu różnych egzekucji i masowego niszczenia ludzi, był przykładowym ojcem rodziny i dobrym mężem. W domu wprost go nie poznawano, był tylko małomówny, w czasie dwóch i pół roku, które przepracowałem u niego, rozmawiał ze mną wszystkiego pięć razy. Jeżeli miał dla mnie jakieś rozkazy, to posługiwał się do tego celu żoną.

Tam też przy jednym pobycie Himmlera miałem okazję go obserwować. Himmler pytał, za co siedzę, pytał oskarżonego, jak się prowadzi. Oskarżony odparł, że pracuję porządnie. Himmler powiedział, żebym tak dalej pracował, to otrzymam kiedyś wolność. Przy tej okazji obserwowałem, jaki był stosunek Himmlera do oskarżonego. Dzieci oskarżonego w tym czasie, kiedy był Himmler, nazywały go „Onkel Heini”. Były fotografie Himmlera, w wielkich rozmiarach, trzymającego na kolanach dzieci oskarżonego. Takie zdjęcia rozmieszczano w korytarzach i pokojach, było tego dość dużo.

Mieszkanie Hößa było bardzo bogato wyposażone, wprost luksusowo. Było tam wszystko, co sobie tylko można pomyśleć, a to dzięki temu, że na najmniejsze skinienie Hößa w danej chwili wszystkie zasoby, wszystkie warsztaty, wszystko, co było w lagrze, było do jego dyspozycji i więźniowie z samego strachu starali się go zadowolić. Mieszkanie zostało wyposażone prawie że wyłącznie dzięki zasobom obozu i materiałom, szczególnie po zagazowanych Żydach. Nawet szuflady biurka i szafy były wybijane skórami. Wszystko było wykonane artystycznie i pierwszorzędnie. Höß kazał sobie robić rzeźby. Bardzo często używali mnie do „zagospodarowania” tych rzeczy, gdyż to wszystko nie mogło się dziać oficjalnie.

W tym czasie, mianowicie 12 czerwca 1942 r., zostałem przeznaczony ze 172 więźniami na rozstrzelanie. Zaprowadzono mnie razem z innymi do Schreibstube, gdzie załatwiano te formalności i skąd mieliśmy się udać na blok 11. celem rozstrzelania. Razem ze mną szedł jeszcze współtowarzysz niedoli, też ogrodnik, który pracował u oskarżonego. Obaj jednego dnia mieliśmy się wykończyć. Oskarżony co do nas obu zażądał zwolnienia, co też się stało. Wróciliśmy do pracy. Jak mówiła Hößowa, na razie egzekucja na nas została wstrzymana.

Nie było tu żadnych skrupułów moralnych, nie było innych względów, zrobiono to tylko dlatego, że w międzyczasie przysposobiono mnie do tzw. organizacji dla domu Hößa.

Starać się musiałem o wszelkie artykuły żywnościowe, m.in. w jednym tylko dniu musiałem „zorganizować” aż trzy worki cukru po 85 kg. Była kawa, było mleko codziennie – wszystko to nazywało się oficjalnie „na kartki”, że niby komendant żyje z tego, co każdy porządny obywatel III Rzeszy dostaje na przydział kartkowy. Jednakże tak nie było. Posługiwano się tymi sposobami nawet do tego stopnia, że i koks na opał zimowy też był „zorganizowany”. Pomagali mi w tym różni koledzy, bo mówili: „Staszek, ty musisz jakoś przeżyć, dopomożemy ci, żebyś u tego draba był możliwie w łasce”.

Drugi raz powtórzyło się to z końcem lipca, względnie z początkiem sierpnia, a po raz trzeci 23 października 1942 r. – miałem zostać skazany razem z 280 lubliniakami. Egzekucja ta wtenczas została wykonana znowu beze mnie. Jak się rzecz miała później w stosunku do mnie, nie wiem, z tego tytułu jednakże miałem moralnie bardzo dużo przejść. Często najmniejsze jakieś niezadowolenie czy inne histerie żony oskarżonego, która zarzucała mi stale: „Gdybyśmy chcieli, gdyby mąż był chciał, rozwiałyby się twoje prochy na polach Oświęcimia. Pamiętaj, ile masz nam do zawdzięczenia, żebyś się starał odwdziaczyć, jeżeli kiedyś będziesz miał sposobność”. To były słowa żony Hößa. On sam nigdy tego nie mówił.

Prócz mnie pracowały u Hößa dwie badaczki Pisma Świętego, jedna była pokojówką, druga, Sophie Stippel, kucharką. Była ona osobiście znana oskarżonemu, gdyż w dzieciństwie mieszkali na jednej ulicy. Poza tym były dwie krawcowe, które szyły sukienki i wykonywały inne kobiece roboty wyłącznie dla rodziny i mieszkania Hößa. Poza tym była codziennie fryzjerka. Prowadzono wystawne codzienne życie. Nie wystarczało Hößowi to, co ja w ramach działalności obozu zdołałem wyhodować w dwóch małych cieplarniach, posługiwano się więc jeszcze moim kolegą, który ze mną pracował, Romanem Kwiatkowskim z Będzina, który miał prywatne ogrodnictwo, a które było pod kierownictwem dwóch jego synów, dodano mu jeszcze jakiegoś Niemca.

Życie Hößów przedstawiało się jak w raju. Toteż żona Hößa, gdy wojska radzieckie zaczęły się zbliżać do terenu Polski, oświadczyła: „On pojedzie, ale ja nie, bo ja tu żyć i tu umierać chcę, tak mi nigdzie nie może być jak tu”.

Żonę Hößa uważam w wysokim procencie za współwinną wszystkim tym zbrodniom. Ona wiedziała wszystko. Gdy jego nie było, bo często wyjeżdżał, wszystkie akta, wielkie stosy dokumentów i wyroków śmierci leżały na jego biurku. Różne sprawy były załatwiane częściowo nawet w jego nieobecności, bo żona podpisywała czy dawała faksymile na tych dokumentach. Więcej od niej niż od niego słyszałem, jak mało wartościowym narodem są Żydzi i Polacy, że trzeba, żeby odpowiedzieli za zbrodnię w Bydgoszczy, że cały naród polski musi odpowiedzieć za tę zbrodnię, cały naród wytępiony być musi. A co do Żydów, to jak będzie czas, to wykończymy i tych ostatnich w Ameryce.

Bardzo częstym gościem Hößów był Obergruppenführer Spauser [Schmauser] i Obergruppenführer Pohl. Ci ostatni żyli z oskarżonym w wielkiej przyjaźni. Często mieliśmy wrażenie, że Höß robi im jakieś prezenty. Były to nasze przypuszczenia tym bardziej, że Höß posługiwał się jednym ze zwolnionych przez siebie zbrodniarzy kryminalistów, którego potem zrobił dyrektorem fabryki skór na terenie Oświęcimia, gdzie składano wszystkie zrabowane materiały ze skóry i podobne rzeczy wartościowe do segregowania w poszukiwaniu kosztowności. W komandzie tym przy tych kosztownościach pracował Stanisław Jarosz, który był moim osobistym przyjacielem. On to z jeszcze jednym kolegą zamknięci byli w specjalnym pokoju, gdzie te rzeczy przynoszono i gdzie obaj mieli obowiązek przeszukiwać je w poszukiwaniu przedmiotów wartościowych, brylantów itd. Wiem od Jarosza, że tych rzeczy znajdowano masę. Pytałem go, co się z nimi dzieje, gdzie to idzie. Powiada: „Ten zwolniony zbrodniarz zabiera bez ewidencjonowania, nikt nie miał prawa pytać, ile czego jest”. Stąd wywodziła się ta nić przyjaźni między komendantem a byłym zbrodniarzem kryminalistą. Żona Hößa do tego zbrodniarza mówiła „ty” i ten codziennie i dwa, i trzy razy zajeżdżał pod dom Hößa, przywożąc różnego rodzaju rzeczy zrabowane. I tak różne ubrania, mundury, buty damskie, męskie, dla dzieci po kilka par i różne inne rzeczy zostały zdobyte kosztem tych ludzi, którzy w Oświęcimiu zostawili życie, kosztem ludzi, którym to zrabowano. Zasadniczo, jak mi wiadomo, większość tych rzeczy szła do Niemiec, jednakże tego, co wychodziło, nie widziałem, tylko słyszałem z opowiadań, bo będąc pracownikiem w ogrodzie Hößa, nie miałem absolutnie żadnych możliwości włóczenia się po różnych komandach, względnie po lagrach ubocznych. Przez cały pobyt w Oświęcimiu nigdy nie widziałem kobiecego obozu w Brzezince czy krematorium.

Podczas drugiego pobytu Himmlera w Oświęcimiu odbyła się rozmowa, którą częściowo podsłuchałem, resztę zaś powiedziała mi ta właśnie kucharka Sophie Stippel, która

u oskarżonego pracowała, a która mnie i moim kolegom współwięźniom zdawała raporty, kto u Hößa był, co mówiono, co widziała itd. Tak że kobieta ta pomogła nam niejednokrotnie ostrzec obóz przed groźnym niebezpieczeństwem. Często była mowa o istniejącej tajnej organizacji na terenie Oświęcimia. Tak samo była mowa o puszczeniu na obóz pracowników gestapo w naszych mundurach, żeby zamieszkali pomiędzy nami. Wiedząc o tym, byliśmy w stanie zawczasu uprzedzić kolegów, żeby byli ostrożni. Wiedzieliśmy, że różne rzeczy na terenie obozu się działy, przygotowywano ucieczki itd.

Pewnego dnia przytrzymano przy bramie jedną z więźniarek, która znajdowała się w Krankenbau na badaniach lekarskich. Przeprowadzono rewizję osobistą i okazało się, że osoba ta miała przy sobie list pisany przez krewnego czy narzeczonego, innego współwięźnia, który, gdy przechodziła, podał jej tę kartkę. Z tą kartką zaprowadzono kobietę do Politische Abteilung, gdzie ją – jak słyszałem od kolegów – strasznie zmasakrowano celem wymuszenia na niej zeznań, kto ten list jej podał. W liście tym rzekomo omawiano pewne zagadnienia dotyczące naszego strasznego położenia w Oświęcimiu, jak i różnego rodzaju zbrodnie. Czy miała być ta kartka przeznaczona na przemyt na zewnątrz obozu – nie jest to mi wiadome. W każdym razie rozmowy te słyszałem od żony oskarżonego, która – nawiasem mówiąc – lubiła gadać. „Słuchaj, Stasiu – mówiła – wszyscy Polacy będą straceni. Nie możecie jako Polacy sobie raz na zawsze uświadomić, że Polska raz na zawsze przestała istnieć. Jakbyście chcieli, wy jako Ślązacy, powinniście oddać wartościowy materiał Führerowi na front”. Żona oskarżonego dalej powiada: „Znowu na terenie obozu wykryto pisaną kartkę. Ona jeszcze nie powiedziała, ale powie – już mój się o to postara”. Rezultat tego: kobieta owa sześć tygodni przesiedziała w bunkrze z codziennym przesłuchiwaniami w Politische Abteilung, a w końcu ustawiono nas wszystkich w obozie w szeregach, przyszedł oskarżony Höß z Politische Abteilungsführerem Grabnerem i innymi, przechodził szeregami z ową kobietą, zmuszając ją, żeby wskazała, kto jej tę kartkę podał. Kobieta ta okazała się bohaterką, nie wskazała nikogo. Następnego dnia została za to powieszona. Tym argumentem chwaliła się żona oskarżonego. Mówiła do mnie: „Cóż, i to mój mąż ma darować? Takiej kobiecie, takiej gnojnjej świni, ma ona jego wystrychnąć na dudka wobec wszystkich więźniów?”. W rezultacie kobieta za głupią kartkę poniosła śmierć.

Jeśli oskarżony stara się wykazać, jak dochodzą mnie słuchy, że nie miał żadnego wpływu na to, co zażądało Politische Abteilung z Grabnerem na czele, to chciałem stwierdzić, że w owym czasie, kiedy oskarżony wyciągał mnie spod ściany, stało się to powodem tego,

że nasi koledzy, w sumie 170 w tym dniu, kiedy normalnie rozstrzeliwano o godz. 9.00 rano, zostali rozstrzelani dopiero o godz. 16.00. Wracając z pracy, spotkałem ciągnięte wozy ze świeżymi trupami, ociekające krwią.

W dodatku tego dnia, przed egzekucją, dwukrotnie Grabner wraz z adiutantem i Obergruppenführerem Hösslerem był u oskarżonego Hößa i zaczęli się kłócić o nas pracujących w ogrodzie. Höß dał dowód, że miał większe prawa od Grabnera, że był w stanie utrzymać przy życiu, kogo chciał i zniszczyć, kogo chciał. W żadnym wypadku nie może się zgadzać z prawdą, że wykonywano wyroki bez jego zgody, że on działał tylko na rozkaz Berlina czy innych urzędów.

Kiedy Himmler był drugi raz w Oświęcimiu, odbyła się rozmowa w mieszkaniu Hößa. Część tej rozmowy słyszałem i widziałem gesty, nie mogłem się jednak zbyt zbliżyć, gdyż to było niebezpieczne. Ale godzinę później, gdy w domu Hößa odbywało się przyjęcie dla Himmlera, kucharka owa wysłuchiwała wyraźnie rozmowy i opowiedziała mi o tym nazajutrz: że Himmler „rugał” oskarżonego Hößa, że za dużo rzeczy, jakie się tu dzieją, robi się zbyt jawne, że radio zagraniczne rozprzestrzenia te rzeczy, że w taki sposób nie dojdzie się do ładu i że będzie zmuszony go odwołać. Höß powiedział, że przypuszczał, iż dla swojej ojczyzny robił tym samym coś dobrego.

Nie potwierdza się również teza oskarżonego, że on zawsze wykonywał tylko rozkazy. Pomiędzy momentem przewinienia czy zbrodni więźnia a wykonaniem egzekucji nie było bowiem czasu, by się porozumieć z Berlinem i by stamtąd uzyskać wyrok. Dowodem tego jest to, że był tam Erkennungsdienstkapo – komunista, garbusek, siedział dziewięć lat; za pewne słowo, jakie wypowiedział wobec swego szefa ujemnie o narodowosocjalistycznym ustroju Niemiec, został w tej chwili zaprowadzony do krematorium i tam za drzwiami na miejscu go rozstrzelano. Ta rzecz działa się w ciągu 20 min. Od pracowników krematorium dowiedziałem się, że ten człowiek został zniszczony. Można to było sprawdzić u Schreibera – pytało się go: „Erwin, czy miałeś Todtmeldung takiego a takiego?” – „Miałem”. Po ośmiu latach siedzenia za jedno błahe słówko człowiek ten oddał życie.

Czy Höß wiedział, że tak się stało, nie wiem, ale przypuszczam, że jako komendant na te rzeczy musiał się zgodzić i musiał wydać więźnia do rozstrzelania czy powieszenia.

W późniejszym czasie z tytułu nieporozumień pomiędzy dr. Cezarem [Caesarem], ówczesnym szefem gospodarki rolnej Oświęcimia, a oskarżonym wynikł spór na tle produkcji rolnej czy coś w tym rodzaju. O tych niesnaskach wiedziałem dość dokładnie od samej żony oskarżonego. Mówiła: „Mojemu mężowi Caesar chce podstawić nogę, ale to się nie uda”.

Okazało się, że mu się poniekąd udało, Höß opuścił bowiem Oświęcim i udał się do Brna, gdzie go wysłał Himmler z tytułem Sonderbeauftragter für Judenvernichtung in Europa.

Hößowa oświadczyła mi: „Zdawało się im, że mój mąż zginie, a on dostał awans i zobaczycie, że za kilka tygodni z mego męża będzie Standartenführer ” – spodziewała się więc awansu. Rodzina Hößa została w Oświęcimiu. W jego domu w tym czasie, kiedy wyjechał, zrobił się punkt wywiadowczy, coś w rodzaju konspiracji przeciwko nowemu komendantowi obozu, który dostał się na miejsce Hößa. Był to Sturmbannführer Liebehenschel – jak nam się w pierwszych dniach zdawało, o bardzo dobrym charakterze. Wygłosił przemówienie, zakazał zdejmowania czapek nawet przed sobą, mówiąc: „Ja tego nie lubię”. Wszystkie szubienice zniesiono, jak i ścianę śmierci, bo, jak mówił, „tego u niego nie będzie”. A za parę dni znalazł inny sposób – gazowanie w aucie. Auto jedzie do Brzezinki, nim dojedzie – wszyscy trupy. Szofer wyjaśniał, jak to się dzieje – że rura wydechowa gazu idzie wprost do auta. Zanim szofer dojedzie na miejsce przeznaczenia, już są trupy. Takie było postępowanie tego człowieka, rzekomo dobrego.

Żona Hößa pytała, co się dzieje w lagrze. Mówiłem, że nie wiem, nie mam czasu, wszystkie niedziele pracowałem, nawet po południu nie miałem wolnego u oskarżonego. Często musiałem być odkomenderowany, pracując do późnych godzin wieczornych, a nawet musiałem poza pracę chodzić w nocy i palić w kotłach, bo to też należało do moich obowiązków. Na to niejednokrotnie żona oskarżonego denerwowała się i mówiła: „Wy, świnie polskie, wszystko wiecie, sam należysz, bydlaku polski, do tajnej organizacji, jak ci drudzy. Nic nie chcesz gadać. Przyjdzie jeszcze raz twoja sprawa, to się wykończysz”. Ja mówię: „Trudno, proszę pani, do mnie nikt nie ma zaufania w obozie wobec mego stanowiska u państwa”. Tak się wykręcałem i wykłamywałem.

Na samym terenie ogrodu mieliśmy schowki, słuchaliśmy radia, były mundury SS i ubrania cywilne przygotowane do ucieczki. Udawało się nam to konspirowanie u oskarżonego dlatego, że jeżeli chcieliśmy mieć czysty ogród, żeby oskarżony nas nie zastał, to szedłem

do jego żony i mówiłem: „Proszę pani, niech pani się postara, żeby szefa w ogrodzie nie było”. „A to w porządku. Idzie coś. Co?”. „Będzie cukier”, wtedy było pewne, że się szef nie pokaże. Swoją drogą trzeba było dać daninę, żeby było dość czasu, fałszowaliśmy papiery do ucieczek, chowaliśmy rowery, paru kolegów przez ogród Hößa potrafiło uciec. Że to się wszystko udawało, duża w tym zasługa mego kolegi, kapo magazynu żywnościowego Adolfa Maciejowskiego. Przysłużył się do tego, że byłem w stanie te świadczenia dawać. Żeby oskarżony o tym nie wiedział, to jest rzecz niemożliwa, gdyż niejednokrotnie na owe dwie kobiety, badaczki Pisma Świętego, które u oskarżonego pracowały, pobierano co tydzień racje żywnościowe, by więźniarki te nie były na utrzymaniu, kuchni, na kieszeni komendanta. Te artykuły żywnościowe przynosił SS-man Szibek [?] w towarzystwie dwóch więźniów. Po jakimś czasie mówi Hößowa: „Wy to macie kolegę. To jakoś niedobrze wygląda, jak on nosi w koszu, czasem przyniesie więcej, to się tak robi, że pan Staszek będzie chodził po te artykuły”. Najpierw nosiłem w koszu, potem tego było tyle, że nie dałem rady, przystosowano mi specjalny wózek i te artykuły żywnościowe raz w tygodniu, w sobotę przywoziłem. Często się zdarzały wpadki, że oskarżony zastał mnie przy wypakowywaniu tych rzeczy, widział, odchodził zadowolony i nic nie mówił. U oskarżonego widywałem duże skrzynie w opakowaniu po dziesięć tysięcy sztuk papierosów, które były sprzedawane wyłącznie w kantynach obozowych dla więźniów. Były to papierosy jugosłowiańskie Iva. Byłem nimi często częstowany. Niejednokrotnie się zdarzało, że znajoma pani czy pan mieli ślub czy coś w tym rodzaju, to Hößowa mówiła: „Staszek, musi się pan postarać o porządny prezent ślubny do Berlina”. „Co to ma być?”. „Jakaś artystyczna rzeźba, czy coś takiego, a jak pan będzie potrzebował papierosów, to ja panu dam, zapłaci pan papierosami”. Tymi papierosami uprawiało się tzw. zapłatę.

Pracowałem dla domu oskarżonego, robiłem tzw. organizację, Schwarzarbeit. Oskarżony szczególnie przestrzegał, żeby na terenie oficjalnym tego nie robiono, a właśnie u niego było najwięcej tej „organizacji”. Były wypadki, że na konto Hößa robiono także dla kogo innego. Często się zdarzało, że więźniowi politycznemu mówiłem: „Zrobisz to i tamto”. „Dobra. Kiedy ma być?”, i on trzy, cztery razy tyle wykonał, a jeżeli szef zapytał, dla kogo robi – dla komendanta, a równocześnie robił więcej, więc było pokrycie dla różnorodnych czarnych robót, dla mniejszych SS itd. Höß o tym wiedział i to tolerował, wiedział i widział. Sam na sobie nosił. Hößowa po kilku miesiącach pobytu więźniarek pracujących w gospodarstwie Hößa, kiedy przyszły ubrania dla nich, płaszcze, sukienki, bielizna, nie

wahała się zamieniać używanej bielizny po zagazowanych ludziach z więźniarkami na licszą, gdyż w Effektenkammer, gdzie te rzeczy przydzielano, starano się w miarę możliwości, żeby do mieszkania komendanta przyszły rzeczy nadzwyczajne, niejednokrotnie była to bielizna jeszcze nie używana. Przychodziła Hößowa i wymieniała. Ta więźniarka, o której wspomniałem, Sophie Skippel, mówiła mi: „Widzisz, stara potrafi nawet używaną bieliznę brać, nie waha się kobieta po zagazowanych ludziach włożyć na swoje ciało tych rzeczy”. Do tego jeszcze starała się [Hößowa] – było to też rzekomo bez wiedzy oskarżonego, ale to było nie do pomyślenia, aby on o tym nie wiedział – bo to było zorganizowanie całej ciepłarni włącznie z rurami, koksem, całym urządzeniem.

Wszystko, co tam dochodziło, było „organizowane” według ich wyrażenia, tzn. pochodziło z „lewych” robót.

Zdarzył się taki wypadek: pewnego dnia jeden z SS-manów przychodzi w asyście dwóch więźniów i przynoszą dwa piękne okna inspektowe. Takich okien u komendanta nie miałem. Okien miałem przeszło sto, ale tak ładnych nie miałem. Mówię do tego SS-mana: „Ja tego nie odbiorę, bo tego nie zamawialiśmy”. Chciał mnie zabić. Powiada: „Nic mnie to nie obchodzi, ma to być u komendanta i koniec”. Mówię: „Nie mogę tych rzeczy odbierać” – bo wszystkie rzeczy potrzebne do ogrodu mnie kazano odbierać, a potem oficjalnie nadchodził rachunek. Powiadam więc, że spytam Hößową, czy to zamawiała. Mówię jej, że przyszedł Scharführer i przyniósł okna inspektowe. Ona pyta: „A może na lewo pan zamawiał?”, [na co ja]: „Nie, przecież okien nam wystarczy”. „Wie pan co – powiada Hößowa – niech pan te okna weźmie”. Okna zostały położone i ci ludzie poszli. [Wtedy] Hößowa mówi: „Znów jakiś pan na konto mego męża to zamówił. Trzeba to schować, bo on tu przyjdzie”. Za 20 min przychodzą z więzienia po te okna. Ona każe mi zaprzeczać, że niby nic nie zamawiałem. Pytam, o jakie okna chodzi. „Przecież 20 min temu przynieśliśmy okna”. „Pan do nas?”. „Ty, taki, owaki, chodź do komendanta”. Okazuje się, że to były okna dla Bischoffa. Wtedy Hößowa mówi: „Otrzymał pan okna? To co pan chce – uciekaj pan szybko z miejsca”. I okna zostały.

Co by nie było, czego by nie potrzeba było, wszystko brali. Przeszedł czas świniobicia. Do tego bierze się więźnia rzeźnika, czy nawet rzeźnikiem on nie był, w każdym razie kapo z rzeźni. Zabrał się do wyrabiania konserw z mięsa. Wyrabiali je w puszkach. Po dwóch miesiącach konserwy zaczęły się psuć, rozrywały się wprost jak granaty ręczne. Wtenczas

cały ten transport oddano więźniom do kuchni, a z obozowej rzeźni dawaj nową świnie. Takie było załatwienie spraw. Na trujące mięso byliśmy jak raz dobrzy, bośmy mało chorób mieli.

Dostarczał wszystko szef gospodarki Engelbrecht. On też zrobił tam szybko karierę z Oberscharführera na Obersturmführera. On dostarczał i papierosy, i wszystkie artykuły rzeźni. Ja sam chodziłem codziennie po mleko do mleczarni. Wyglądało to tak. Z tytułu kartek mlecznych rodzinie Hößa przysługiwało 1,25 l dziennie. Przynosiłem codziennie pięć litrów mleka. Płacić za to – nikt nie płacił. Nieraz i śmietanę przynosiłem, która była zakazana w Niemczech do użycia. Za to się nigdy nie płaciło. Płaciło się za 1,25 l mleka. Jeżeli mi czasem nie chcieli dać i nie przyniosłem pięciu litrów mleka, to jeszcze pretensja była: „Jak, to nam ma wystarczyć?”. Powiadam: „Nie dało się. Caesar był”. Zdarzało się, że przychodził czasem największy wróg Hößa, któremu podlegała ta mleczarnia, i wtedy nie mogli mi więcej mleka dać, bo on znał mnie i wiedział, że od Hößa przychodzę po mleko i ile mleka zabieram. Wtedy musiałem mniej mleka przynosić.

Nie było artykułu – czy to kawa, czy herbata, grysik, fasolka, chleb biały – niczego nie brakowało, wszystko musiało być w taki sposób dostarczane. W taki sposób życie przedstawiało się bardzo tanio. Piwnica była pełna wina, likierów, koniaku, nie brakło niczego, pełno też było owoców.

Po wyjeździe oskarżonego z Oświęcimia i objęciu przez niego stanowiska Sonderbeauftragter für die Judenvernichtung in Europa odwiedzał on często rodzinę. Przyjeżdżał co sześć tygodni, co miesiąc do domu i wtedy przywoził transporty. Kiedy jeździł organizować te tzw. wolne roboty, to wkrótce potem nadchodziły olbrzymie skrzynie wina, likierów, owoców, a nasza pani chowała to do piwnicy, ciesząc się, że mążzonek dobrze o nią dba. Są to rzeczy, które tak się zdarzały, to nie były sprawy przypadkowe. Na tym opierał się dom i ich życie.

Poza tym nawiązując jeszcze do zbrodniarza Grynkego, o którym mówiłem, że zrobił go Höß dyrektorem wielkiej fabryki skór, to wywdzięczał mu się i dostarczał wszystkiego: gęsi kaczki, żywego drobiu, a także materiały, ubrania. Dbał o konie, bo oskarżony miał konie pod siodło. Miał także auta. Przede wszystkim dużo korzystały z tej fabryki skór dzieci oskarżonego. Było ich czworo, a w Oświęcimiu zjawiało się jeszcze i piąte. Kiedy piąte dziecko miało się urodzić, Hößowa przeżywała ciężką trochę ciężko i bywał tam bardzo często prof. Glauber

[Clauberg], ów człowiek, który w Oświęcimiu prowadził stację doświadczalną na bloku 10. Żywo i szeroko dyskutowano u Hößa nad udanymi i nieudanymi eksperymentami, nad perspektywą przyszłości tych badań i dochodzeń. Höß o tym wszystkim wiedział, Höß to tolerował, Höß do tego rękę przykładął. Höß ów blok 10. lustrował niejednokrotnie, mimo że w żadnym wypadku się do tego nie przyznaje. Nie może zaprzeczyć temu, nie może powiedzieć, że robiono to czy owo za jego plecami. Tego nie było.

Co do osobowości Hößa, nie był on wymowny, okazywał wyższość i pogardę dla wszystkiego, co chodziło w pasiakach, z więźniami nie rozmawiał. Ale wiedział o wszystkim, co się w obozie robiło, nie mogło tam być nic robione poza jego plecami, gdyż Höß mało przebywał w domu, był człowiekiem bardzo ruchliwym, stale był w terenie, to wyjeżdżał samochodem, to konno, stale się po komandach kręcił, tam gdzie się go najmniej spodziewano, można go było spotkać. Był naszym postrachem. Poza tym żeby Höß kiedyś którego więźnia uderzył, nigdy nie widziałem, żeby do kogoś strzelał, też nie widziałem. Ale niejednokrotnie czyszcząc buty Hößa – bo byłem jego pucybutem – często gdy po nocnych eskapadach wracał nad ranem, o czym wiedzieliśmy od tych więźniarek, które spały w jego domu, gdy musiałem czyścić jego buty, widziałem, że były poplamione krwią. Skąd te plamy się wzięły, czy sam krew przelewał, czy był to jakiś przypadek – nie wiadomo. Słyszałem tylko raz, że znalazł się jeden transport na bocznicy, który jako ostrzeżony nie chciał absolutnie opuścić wagonów. Wtenczas zaczęła się na stacji straszna masakra. Strzelano wprost do wagonów przez ściany i w inny sposób. Jak nas w obozie doszła wiadomość przez komanda, które były w tej tzw. Kanadzie, które te pozostałości po zagazowanych ludziach sprzątały, tym razem nie szło lekko, całą noc się napracowali, gdyż więźniowie się nie dawali. Nie można było odłączyć żon od mężów, dzieci od matek, wszystko trzymało się kupą. W końcu jednakże odłączono, ale zdarzały się wtedy wypadki pokaleczeń przy tej strzelaninie, przestrzeliwano wagony i po drugiej stronie trafiano w ludzi. Taki wypadek miał miejsce. Sam go nie widziałem, tylko słyszałem.

Przypuszczalnie też za pomocą Hößa zdarzył się w Oświęcimiu fakt, że nawet od więźniów zmarzniętych i zgłodniałych żądano daniny w formie ciepłej odzieży, którą musieliśmy dawać, a dawaliśmy z naszych efektów, z tego, co czasem otrzymaliśmy od rodzin, chociaż najczęściej nie dawano nam tych rzeczy, ale zasadniczo pozwalano co pewien czas na dostarczenie z domu ciepłej bielizny. W każdym razie każdy więzień był obowiązany dać minimum dla frontu, przynajmniej parę ciepłych skarpetek. Nie było takich, którzy by nie

dali, gdyż to groziło oczywiście skróceniem godzin naszego życia. Oskarżony jednak wiedział o tym, że żądano od nas tych rzeczy i uważam to za jedną z największych hańb, żeby od więźniów przeznaczonych na śmierć potrzebować pomocy fantowej. Niemcy jednakże w środkach nie przebierali, gdyż – jak mi wiadomo od kolegów pracujących w magazynach żywnościowych – Höß zażądał wysyłania paczek żywnościowych w okresie gwiazdki i podobnych świąt z artykułów żywnościowych po zagazowanych Żydach. Były to sardynki, jakieś specjalne trwałe wędliny – robiono z tego paczki i wysyłano przede wszystkim SS-manom, których spotkało nieszczęście, że z tych wygód w Oświęcimiu musieli pójść na front. Poza tym wysyłano to do szpitali rannym. Widziałem długie sznury samochodów z wózkami dziecięcymi, które wysyłano matkom niemieckim dla ich dzieci do Niemiec, naładowanych w taki sposób, że miało się wrażenie, iż ów samochód wywróci się do rowu. To wszystko poszło dla zbombardowanych matek i dzieci niemieckich. Nie krępowano się. To samo robiono z bielizną, pościelą itp. Höß przyczyniał się do pozbawienia Żydów nie tylko życia, ale i majątku. Chodziło o to, żeby zdobywać złoto i wysyłać do Berlina ewentualnie na dalsze prowadzenie wojny. Höß w każdym razie o tym wszystkim wiedział, widział to, słyszał o tym i do tego się przyczynił i nie może być, żeby on, czy ktokolwiek mógł twierdzić, że on o tym nie wiedział, bo to „elementarnie” wiedział każdy, to wiedziały dzieci jego, co się robi.

[Jeśli chodzi o] wychowanie dzieci, było [ono] w pojęciu naszym, Polaków, ludzi wierzących w Boga, wprost niezrozumiałe. Kultu religijnego nie uznawano w ogóle, uznawano jedynie kult narodowosocjalistyczny. Przy uroczystościach rodzinnych, jeżeli któreś dziecko obchodziło urodziny, czy [też] Höß, czy jego żona, obchodzono to w bardzo uroczysty sposób, palono specjalnie na ten cel przeznaczone świece, tzw. Lebenslichter – świece życia, przysyłane przez Hitlera. Członkowie rodziny mieli mniejsze świeczki, wąskie i cienkie, zaś ojciec i matka zwykłe, grube świece. Starano się jednak zawsze wykonywać tego rodzaju kult w taki sposób, że ani kucharka, ani żaden z nas nie mogliśmy nigdy być świadkami tego, co robili czy mówili przy takich uroczystościach. W każdym razie naśmiewali się z wiary, obojętnie jakiej. Chłopiec Hößa, mając pięć lat, wyrażał się o Bogu, o ludziach, którzy w Boga wierzą, o badaczkach Pisma Świętego, które tam pracowały, w sposób obraźliwy, a mamusia po prostu cieszyła się z tego. Sam widziałem, jak wkrótce przed rozwiązaniem, przed urodzeniem się dziecka Hößa, jedno z jego dzieci obmacywało matce brzuch. Pięcioletnie dziecko. O bocianie nie było mowy. Z góry wiedziano i ordynarnie się

o tych rzeczach wyrażano. Wiedziały wszystkie dzieci. Wychowanie było poniżej wszelkiej krytyki. Starszy chłopiec, 14-, 15-letni, chodził do szkoły, był bardzo ambitny. Bawił się pistoletem, karabinkiem, strzelał wprost do ogrodu. Niejednokrotnie stanowiło to dla nas niebezpieczeństwo. Dziecko tak, z głupia, mierzyło w ludzi i mówiło: „Ja świnie polską zastrzelę”. Karabinki takie, nawet oryginalne, leżały w ogrodzie. Był wypadek, że ja sam zawiązałem je w szmatę i worek i zaniósłem oskarżonemu i radziłem, żeby je zamknął i przechowywał, bo SS-mani i więźniowie, chodząc po ogrodzie, mogliby zabrać, a ja bym był podejrzany, że schowałem. Wtedy karabiny zostały schowane. Były to karabiny polskie, przedwojennej policji.

W stosunku do żony Höß był bardzo dobrym mężem, do czasu, kiedy wskutek nieszczęśliwego wypadku z koniem i przytłuczenia go przez konia podczas jazdy, wyjechał do sanatorium. Tam spotkał jakąś kobietę czy kochankę, dość [powiedzieć], że ta dostała się do Hößa, była w obecności żony i dochodziło na tym punkcie do scysji. Trwało to dość długo. Jakoś się pogodzili. Złego współżycia nie było.

Żona jego interesowała się zawsze żywo wszystkim. Wszystko wiedziała, co się w lagrze dzieje. Wiedziała lepiej niż oskarżony i mogła wszystko. Pewnego dnia 12 naszych ludzi z Bauleitung miało być powieszonych. Prosiłem ją, żeby mnie od odkomenderowała, gdyż miałem wiele roboty i nie mogłem dać sobie rady. Nie chciałem być świadkiem tego powieszenia. Zgodziła się na to i zostałem. Höß wrócił po egzekucji. Byłem w kuchni. Żona się do niego zwróciła: „Co, tak szybko tych 12 załatwiłeś?”. Na to oskarżony: „Ja to bardzo szybko załatwiam”. „Dobrze zrobiliście” – żona zgadzała się z całym programem i z tym programem zgadzała się w 100% bardziej niż on sam.

Tak oskarżony jak i jego żona starali się w gronie pewnych więźniów, będących na możliwych komandach, z których można było czerpać jakieś korzyści, żeby im było dobrze, szczególnie uprzejmą okazywała się jego żona. Za najdrobniejszą rzecz przyniesioną do domu dostawało się [to] kawał chleba z marmoladą, to papierosy.

Zasadniczo Hößowa traktowała rzecz w ten sposób, że jeżeli zdradzę się, że coś dla nich organizowałem, to mam wiedzieć, że będę w tej godzinie wykończony. Ja oczywiście starałem się, żeby o tym nie wiadano.

Poza tym był jeszcze SS-Rottenführer Hartung, który był przez Hößową i Hößa wyjątkowo uprzywilejowany. W tajemnicy przed szefem gospodarstwa rolnego, dyr. Joachimem Caesarem, sprowadzał warzywa, poza tym, co ja wyhodowałem w ogrodzie, tak że Hößowa wysyłała artykuły żywnościowe do swoich krewnych do Berlina. Raz wysłała dziesięć kilogramów kartofli, bo tam było mało. I takie rzeczy się robiło. Ten SS-Rottenführer Hartung starał się o doniczki, o wszystko, co mnie do wykonywania mego zawodu w domu Hößa było potrzebne.

W czasie masowego palenia trupów w Brzezince widać było łunę pożarną, a odoru po prostu nie można było znieść, nie tylko my nie mogliśmy, ale i oskarżony i jego rodzina. Trzeba było zamykać okna. Pierwsze krematorium w Oświęcimiu było oddalone od domu oskarżonego o 40 m. Komin był niewysoki, wlatywało to wszystko do mieszkania. Kiedy palono zwłoki na wolnym ogniu, dlatego że rady nie można było sobie dać z paleniem w piecach, zakazano latania samolotom niemieckim nad Oświęcimiem. Pamiętam dzień, kiedy oskarżony wpadł do ogrodu i przez chłopaka swego kazał mnie zapytać, bo sam [ze mną] nie rozmawiał, czy nie rozpoznałem znaku przelatującego samolotu. Był to samolot mały, myśliwski. Wtenczas po raz pierwszy widziałem oskarżonego wzburzonego. Jak śmiał przelatywać samolot mimo szczególnych zakazów przelatywania nawet niemieckim samolotom. Tak że nie tylko miałem wrażenie, ale wiedziałem dokładnie i pozytywnie, że te rzeczy wobec własnego wojska i narodu chciano ukryć, starano się w miarę możliwości, by z tych rzeczy nie doszło wiele do wiadomości.

Grabner jako szef Wydziału Politycznego przebywał u oskarżonego w mieszkaniu dość często. Odbywało się to jednakowoż szczególnie wieczorem. O zaszłych faktach dowiadywałem się nazajutrz od pracownic, od wyżej wspomnianych więźniarek, które tam pracowały.

Oświadczam jeszcze raz, że nie może być rzeczy i zbrodni tam dokonanych, o których by oskarżony nie wiedział.

Przewodniczący: Świadek powiedział tego rodzaju szczegół, że prawdopodobnie Hößowa jakimś faksymile męża podpisywała rozmaite akty, rozkazy czy egzekucyjne, czy inne, kiedy go nie było?

Świadek: Tak, przypuszczam.

Przewodniczący: Czy świadek widział, żeby oskarżony miał jakieś faksymile?

Świadek: Nie widziałem.

Przewodniczący: Na czym świadek opiera to przypuszczenie?

Świadek: Na tym, że nawet podczas nieobecności Hößa wielkie masy akt, całe stosy naszych spraw leżały na biurku, wyłącznie ludzi przeznaczonych do gazowania, te akta przeglądała jego kucharka Skippel. Oskarżonego nie było, a akta wracały i niejednokrotnie bywało że jeszcze przed powrotem Hößa uśmiercano tych ludzi. Bez powodu nie przysyłano by kobiecie tych akt do domu.

Przewodniczący: Więc to jest tylko wniosek, nie zaś obserwacja świadka. Świadek mówił, że w domu Hößa było dużo fotografii z Himmlerem, że dzieci nazywały go wujkiem. Czy świadek zauważył, że Hößa czy jego żonę łączyły z Himmlerem jakieś szczególnie przyjazne stosunki, serdeczność, czy był stosunek pokrewieństwa, że dzieci nazywały go wujkiem?

Świadek: Pokrewieństwa, o ile mi wiadomo, nie było, nastrój był jednakowoż serdeczny, bo przy długich spacerach w pięknym ogrodzie u Hößa widać było z ożywionej rozmowy i uśmiechów, że panuje dobry nastrój. Poza tym na tarasie urządzano kawę i to się odbywało w bardzo miłym nastroju.

Przewodniczący: Gdzie był ten taras?

Świadek: W ogrodzie istniał pawilon, Gartenhaus, przed nim z płyt z naturalnego kamienia był taras, były ustawione specjalne meble, ja je ustawiałem, stał piękny, wykonany w fabryce skór parasol słoneczny, który nakrywał całość i tak się odbywał podwieczorek w godzinach popołudniowych. Był przy tym oskarżony i kilku wysokich oficerów, Schmauser, Pohl i Himmler.

Przewodniczący: Więc świadek wnosi z tej serdeczności, że łączą ich bliskie stosunki?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Stosunki bezpośrednie, więcej niż towarzyskie?

Świadek: Tak jest.

Przewodniczący: Dalej świadek powiedział, że były okoliczności, że nie mógł zorganizować tego mleka, bo tam był Caesar. Czy Höß miał wrogów wśród swoich podwładnych?

Świadek: Jeden, o którym wiem, to był dr Caesar, szef gospodarczy.

Przewodniczący: Czy świadek zauważył, że Höß się krępował wobec Caesara?

Świadek: Tak i niejednokrotnie ostrzegał żonę, ona sama o tym mi mówiła: „Mój mąż mnie ostrzega przed Caesarem, nie rozumiem, co Caesar ma w stosunku do mego męża”. Pogłoski o tych nieporozumieniach były takie, że rzekomo oskarżony miał nie być w najlepszym porządku w stosunku do innych SS-manów, że za dużo służby, za kiepskie wyżywienie, wymagania, a poza tym zarzucano mu, że gospodarstwo rolne nie stoi na wysokości zadania, gdyż rzeczywiście nie stało. Dużo wyżywienia trzeba było kupować, ziemi zaś było tyle, ludzi było tyle, że gospodarstwo mogło dać te produkty. O to oskarżony miał pretensje do Caesara, ten zaś – jak opowiadali współkoledzy, którzy pracowali na Landwirtschaft – uchodził, za człowieka dość możliwego, nie gnębiącego specjalnie, nie chcącego specjalnie bić i męczyć, przeciwnie niż Höß.

Przewodniczący: Czy w domu Hößa bywali podwładni oficerowie SS, czy urzędzał przyjęcia?

Świadek: Nie, nie widziałem.

Przewodniczący: Więc tylko wyjątkowo z Himmlerem?

Świadek: Tak. Był wypadek, że była jakaś uroczystość, urodziny, cały korpus oficerski przyszedł złożyć życzenia. Musieli wystawać w mrozie na śniegu, zasalutowali, uściskał każdego rękę, nawet na kawę czy wódkę nie poprosił i z miejsca poszli do służby.

Przewodniczący: Tak wyglądało przyjęcie?

Świadek: Tak, całkiem sztywno.

Przewodniczący: Świadek powiedział, że dom Hößa był dostatnio urządzony, że organizowano, jak świadek użył wyrażenia, żeby dostarczyć wszystko.

Świadek: Tak. Kiedy Höß przyjechał do Oświęcimia, mówiono mi – mnie wtedy w Oświęcimiu nie było – że Höß wprowadził się na jednej furmance, a jak się wyprowadzał, to cztery wagony kolejowe wywoziły jego rzeczy.

Przewodniczący: Jakie zajmował mieszkanie, czy miał osobny dom, rodzaj willi, ile pokoi?

Świadek: Osobny dom, rodzaj willi, pięknie urządzone, pokoi było pięć i kuchnia, dwie łazienki, obszerne piwnice. Do tego kazał nadbudować dla służby, dla owych kobiet, które u niego pracowały, pokój gościny i bawialnie dla dzieci, tak że jeszcze doszły trzy pokoje, więc razem osiem i kuchnia.

Przewodniczący: Świadek powiedział, że żona Hößa odnosiła się ze szczególną nienawiścią do Polaków i Żydów.

Świadek: Tak jest.

Przewodniczący: Czy świadek doświadczał tego bezpośrednio w zetknięciu z nią, czy wyrządziła mu osobistą krzywdę lub czy wyrządziła też krzywdę dzieciom?

Świadek: Do dzieci się wyrażała w ten sposób – kiedy widziałem, jak szły na miejsce pracy komanda kobiece, kobiety były brudne, niemyte, w tym czasie były w okropnych warunkach w Birkenau, bez wody – Hößowa wołała: „Zamykajcie okna, bo idzie ten gnój, polskie świnie”.

Przewodniczący: Więc to polegało na słownych obrazach, nie czynnych?

Świadek: Czynnych nie widziałem.

Przewodniczący: Świadek powiedział, że w ogrodzie Hößa organizowano – w innym znaczeniu tego słowa – chowano rozmaite rzeczy. Może świadek to szerzej przedstawi, jakiego rodzaju to były przedmioty chowane?

Świadek: Ogród składał się właściwie z trzech przestrzeni, jedna do drugiej dobranych, może po dawniejszych właścicielach. Było wspaniałe ogrodzenie, mur, ale żona Hößa, wielka miłośniczka kwiatów, kazała sobie jeszcze przybrać mur tak, że ogród się ciągnął w kształcie winkła bardzo daleko w kierunku warsztatów, tak że ja, przychodząc do pracy, zachodziłem do ogrodu od warsztatów. Można było w ten sposób wejść do ogrodu, gdyż tak wieżyczki w „postenkencie” były postawione, że mijając SS-mana, można było wyjść na ulicę, ubrać się za cywila i wyjść. Zaistniały możliwości ucieczki. Dlatego kazano trzymać ogród stale zamknięty od tyłu, żeby się ktoś nie wkradł, i powiedziano, że ja odpowiadam za to, jeżeliby się coś takiego stało.

Zbieraliśmy się w głębi ogrodu i mieliśmy możliwość postawienia jednego do pilnowania, tak że gdyby ktoś się zbliżył, widzielibyśmy go z odległości 30 m i można było te rzeczy ukryć.

Pracowaliśmy z kolegą Henrykiem Kwiatkowskim, który pracował w mleczarni, i drugim kolegą, którego nazwiska nie pamiętam, a który był rzeźbiarzem i to dobrym rzeźbiarzem, który do Hößów dużo robót dostarczał. Mieli oni do mnie zaufanie, ale mówili: „Staszek, pójdziesz z nami”. Wszyscy byliśmy zorganizowani, każdy rzekomo pracował gdzie indziej, a de facto w ogrodzie u Hößa. Trzeci z nas miał w opiece pszczoły. Nazywał się Józef Roszak, pochodził z Koszyc Małych koło Tarnowa. Umówiliśmy się, że jeżeli mamy uciekać, to wszyscy muszą pójść, bo jeżeli jeden nie pójdzie, to będzie musiał życie oddać. Trzeba więc było zorganizować ucieczkę wspólnie i na to trzeba było dużo czasu. Tamci dwaj, Kwiatkowski i rzeźbiarz, mieli możliwość obracania się z kolegami po różnych komandach i przynosili rzeczy na przechowanie. U mnie przechowywały się w ulu wśród pszczoł papiery, dokumenty urzędowe, podrobione pieczętki urzędowe komendantury. Zaistniała tylko trudność przy zdobywaniu poszczególnych znaczków. Każdy pracownik cywilny pracujący w obrębie obozu miał legitymację służbową, na którą go wpuszczano i wypuszczano z terenu obozu. Na legitymacji tej był znaczek, którego kolor i wygląd co miesiąc zmieniano. Znaczkę tę można było kupić u samych SS-manów. Żądali za to horrendalnych cen, świadczeń i danin. Wszystko było przygotowane do ucieczki, kiedy na dwa dni przed końcem miesiąca ten znaczek stracił swoją ważność i trzeba było oglądać się za nowym. Poza tym postaraliśmy się o mundury SS, mieliśmy trzy mundury przechowywane w ogrodzie, również cywilne czapki, cywilne ubrania itp. rzeczy potrzebne do ucieczki. Przez pewien czas była i broń, ale mnie o tym nie powiedzieli, przypuszczali, że mógłbym się obawiać, więc przynieśli i schowali.

Oskarżony nie życzył sobie, żeby jakikolwiek SS-man wchodził do jego ogrodu. Oświadczył, że to jego prywatne mieszkanie, a jak mówiła jego żona: „Ci ludzie są za bardzo ciekawi, powoduje to tylko nienawiść, niechęć, intrygi więc po co tu ktoś ma wchodzić. Mam do was zaufanie – mówiła – pomagaliśmy wam, utrzymaliśmy was przy życiu, postaramy się, żebyście kiedyś wyszli z obozu, aby zobaczyć żonę i dzieci, macie u nas dobrze”.

Na zarządzenie Hößa musiałem mieć w obozie lepsze mieszkanie, dwukrotnie w tygodniu zmianę bielizny, więcej garniturów na zmianę. Żądał ode mnie czystości. Nie o moje zdrowie martwił się oczywiście, tylko o to, żebym nie przyniósł jego dzieciom tyfusu lub innej choroby

z lagru. Zabronił mi odwiedzać kolegów, bo bał się wszy tyfusowych. Tak że to pomagało mi trochę w tym, że przeżyłem i mam to szczęście, że jestem.

Co do oskarżonego, to [w związku] z naszą ucieczką przeżywaliliśmy niesamowite chwile. Kiedy mój kolega poszedł, a ja zostałem, bo zachodziła obawa, że noga mu się powinie. Wiadomo, że żywcem nie można się było dać złapać – wtedy szybka śmierć mogła być tylko dobrodziejstwem. Każdemu wiadomo było, że trzeba było przechodzić niesamowite męczarnie, bo żądano zdradzenia, kto pomagał i za co, kto dał buty, pończochy, bieliznę, pytano czy się miało złoto, brylanty i kto je dał, badano w oddziale politycznym na każdą okoliczność, badanie trwało sześć tygodni i więcej. Rezultat był taki, że ludzi tych tracono. Nic nie pomagało. Wieszano, truto, najczęściej strzelano. Istniała więc zawsze obawa, że to się może nie udać.

Przewodniczący: Należy rozumieć, że wtedy wprowadzono w błąd Hößową, że się organizuje coś dla niej, a Höß nie chce oficjalnie o tym wiedzieć i wyście w ten sposób mieli swobodę działania?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Czy w tych „organizacjach”, które urządził świadek, mógłby świadek powiedzieć, że znoszono do domu Hößa złoto i kosztowności?

Świadek: Nigdy tych rzeczy nie widziałem, ale jestem przekonany, że musiało to mieć miejsce. Hößowa nosiła skromny brylant i pierścionek z perłą. Często też oświadczała, że nie chce, żeby ktoś powiedział, że ma coś po Żydach. Jednakże znając typ, jakim był Grynke, który był jej prawą ręką – a był zbrodniarzem i specjalistą od szukania klejnotów, i brał do tego dwóch zaufanych ludzi, załatwiał te sprawy tak, że nikt nie miał o tym wiedzieć – można myśleć, że tak musiało być. Nikt nie wiedział, ile tych kosztowności zostało wręczonych Grynkiem przez więźniów. Jednakowoż biorąc pod uwagę, że Grynke codziennie coś przywoził – a był codziennie – mieliśmy prawo przypuszczać, że na pewno zaopatrzyli się porządnie.

Przewodniczący: Czy świadek widział, że Höß, względnie Hößowa wysyłali lub dawali komuś prezenty, obdarowywali swoją rodzinę w Niemczech?

Świadek: Do krewnych Hößa do Niemiec, a mianowicie do Berlina, wysyłano artykuły żywnościowe – o ile wiem. Przesyłanie materiałów czy innych rzeczy miało mieć miejsce, jak słyszałem od tych kolegów, którzy byli zaufani do wyszukiwania tych kosztowności.

Przewodniczący: Chodzi mi o jedno: czy funkcjonariusze wyższych lub niższych stopni od Hößa, względnie przełożeni także „organizowali” w tym kierunku jakieś przesyłki grzecznościowe, prezenty?

Świadek: O tym nic nie słyszałem.

Prokurator Cyprian: Mam pytanie do oskarżonego w związku z zeznaniami świadka. Czy oskarżony słyszał, co świadek zeznawał o stosunkach panujących w jego domu?

Oskarżony: Tak jest.

Prokurator Cyprian: Czy oskarżony z związku z tym chce nam coś powiedzieć?

Oskarżony: Tak jest.

Prokurator Cyprian: Proszę.

Oskarżony: Po pierwsze, że sposób, w jaki ja rzekomo zachowałem świadka przed rozstrzelaniem, w tej formie się nie zgadza. Dwa razy się zdarzyło, że obaj ogrodnicy byli przewidziani do tego, żeby zostali przekazani do innego obozu, do Mauthausen, względnie do Flossenbürga – to były obozy z kamieniołomami. Ja odmówiłem temu żądaniu. Poprzednik świadka został rozstrzelany na żądanie gestapo, nie wiem, skąd ono napłynęło – za to, że był członkiem ruchu oporu. Gdybym ja był miał jakiś wpływ na gestapo, jak to tutaj podkreślił i podniósł świadek, to przecież mógłbym być ocalić tego pierwszego ogrodnika od kary rozstrzelania.

Co się tyczy akt, które rzekomo leżały na moim biurku, to chodziło o meldunki odnośnie do wypadków śmierci, przeznaczone dla Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, względnie dla innych odpowiednich instytucji. Takie akta, w których chodziło tylko o podpisanie meldunków, przynoszono do mojego domu i to czyniły wszystkie wydziały, jeżeli mnie w tym dniu wieczorem nie było na obszarze obozu, względnie w domu, żebym mógł te akty podpisać po moim powrocie do niego. W każdym razie gdy chodziło o ważne i pilne rzeczy, to po moim powrocie adiutant telefonował do mnie, a nawet gdy chodziło o szczególnie pilne

sprawy, to osobiście do mnie z tymi aktami przybywał. Twierdzenie, jakoby moja żona takimi sprawami się zajmowała i ewentualnie własnoręcznie podpisywała – takich rzeczy ja nie znam. Posiadałem tylko jedno faksymile, a to mój adiutant miał u siebie pod kluczem. Było ono używane tylko do podstemplowywania przepustek obozowych.

Jeżeli chodzi o wizytę Reichsführera Himmlera, która miała miejsce w 1942 r., to zaznaczam, że był on u mnie drugiego dnia po południu, w moim ogrodzie i moim domu, był u mnie wszystkiego pół godziny, a nie zgadza się z prawdą, że podano kawę i inne rzeczy i że tam byli jeszcze inni oficerowie. W tym czasie rozmawialiśmy tylko na temat spraw rodzinnych i on rozmawiał tylko z moją żoną, względnie z moimi dziećmi. Ani przy tej wizycie, ani przy wieczornym przyjęciu, które miało miejsce u Gauleitera Brachta w Katowicach, nie mówiono o żadnych sprawach służbowych, a również nie było tam Obersturmführera Pohla, tylko był Gauleiter Bracht i Obersturmführer Schmauser.

To, że powodem mojego zwolnienia z posterunku w Oświęcimiu było radio angielskie, które rzekomo mówiło, że za wiele się dzieje w moim obozie, absolutnie nie zgadza się z prawdą. Wizyta Reichsführera miała miejsce w czerwcu 1942 r., a ja zostałem zluzowany w listopadzie 1943 r. i z powodu zupełnie innego.

Dom, w którym mieszkałem, był to dom, w którym pierwotnie mieszkał polski zarządca koszar artylerii.

Dom składał się z dwóch mieszkań. Początkowo, kiedy w tym domu mieszkałem, w 1940 r., w dolnej części znajdowało się kasyno, a ja mieszkałem na pierwszym piętrze. Kiedy po raz pierwszy przybył do obozu Reichsführer Himmler, 1 marca 1941 r., rozkazał, bym polecił przygotować ten dom, by nabrał bardziej reprezentacyjnego wyglądu. Wtedy Himmler sam obejrzał dokładnie mój dom, moje meble i zaznaczył przy tej okazji, że w obozie w Sachsenhausen, z którego tutaj przybyłem, miałem mieszkanie czteropokojowe. Wtedy mi rozkazał, aby w warsztatach Bauleitungu czy w warsztatach obozowych przygotowano wszelkie potrzebne meble. Ten sam rozkaz później drogą pisemną jeszcze raz dostał Moll, który przekazał go do kierownictwa budowy. Ja za te wszystkie przedmioty i meble, jakie zostały wykonane, aż w najdrobniejszych szczegółach zapłaciłem i w dokumentach znalezionych tam, w Oświęcimiu, o ile wiem, znalazły się odnośne rachunki. Tak samo

z mojego konta, które miałem w oświęcimskiej kasie, musi wynikać, co z tego banku pobierałem i co wydawałem, a przez ten bank pobierałem pobory.

Świadek twierdzi, że wyprowadziłem się z Oświęcimia, zabierając cztery wagony rzeczy. Ma rację o tyle o ile. Jednak nie uwzględnia tego, że w tych wagonach znajdowały się przygotowane konstrukcje do baraku, który miałem zajmować w Ravensbrück, dokąd się wtedy udawałem. Jeżeli chodzi o bieliznę, odzież, mundury, te przedmioty nigdy nie mogły pochodzić z akcji żydowskiej, tak samo materiały potrzebne na moje mundury, albo też garnitury cywilne, bo tych posiadałem dwa. Materiały na mundur były mi przyznawane przez tzw. kasę odzieżową SS-ową.

W fabryce skór miałem większy kontyngent skór. Jednakże skóry te nie pochodziły z tzw. akcji żydowskiej, bo tam nie było skór, lecz dużo ich miałem w mieszkaniu z fabryki obuwia Bata w Chełmku, a dwaj dyrektorzy tej fabryki byli moimi dobrymi znajomymi i od nich te materiały sprowadzałem. Z tego samego źródła pochodziły również wielkie ilości materiałów potrzebnych do wykonywania bielizny i sukien dla mojej żony i moich dzieci. Wszelkie suknie i przedmioty należące do bielizny, które mogły być wykonane w warsztatach obozowych, były tam wykonywane. Ale za każdy, choćby najmniejszy, przedmiot dostarczany mi z warsztatów obozowych otrzymywałem rachunki, wystawiane czy to przez fabryki skór, czy przez warsztaty krawieckie i inne.

Jeżeli chodzi o środki żywnościowe, dla tych dwu badaczek Pisma Świętego, które pracowały w moim domu, tak samo dwóch ogrodników i jednego stolarza, to musiałem je opłacać. Za te badaczki Pisma płaciłem np. 75 marek miesięcznie. Te dwie kobiety były aprowidowane zupełnie oficjalnie przez obóz, tzn. dostarczano mi środków żywnościowych in natura z administracji obozowej. Kobiety te jadły to samo co i my.

Poza tym mnie jako komendantowi obozu dla celów reprezentacyjnych co jakiś czas przysługiwały pewne racje żywnościowe, tak z administracji jak i z wszelkich przedsiębiorstw produkujących żywność. Tym też należy wytłumaczyć większą ilość koniaku, likieru, która znajdowała się w moim domu. Z tych powodów otrzymywałem co miesiąc pewien kontyngent, tak z kantyny jak i z obozu gospodarczego wojska.

Odnosnie tej świni, o której mówił świadek, to należy sprawę tę wytłumaczyć w ten sposób, że jako kierownik przedsiębiorstwa rolnego pod względem aprowizacyjnym byłem uważany

za człowieka, który sam powinien o siebie dbać, za autarkicznego, i miałem prawo co rok zabijać jednego wieprza o określonej wadze. Stało się tak, jak to przedstawił świadek, że mięso to się popsuło, ponieważ rzeźnik, który te konserwy przygotowywał albo puszek tych odpowiednio nie pozamykał, albo nie dał odpowiednich przypraw. Rzeźnia odebrała mięso z powrotem i za to otrzymałem bieżąco z rzeźni aż do wyczerpania kontyngentu odpowiednią ilość mięsa i przetworów mięsnych. Nie zgadza się z prawdą, jakobym z okazji moich wyjazdów za granicę organizował różne zapasy. Te konserwy żywnościowe przychodziły ze składnicy gospodarki wojskowej i były mi ofiarowywane w tak wielkiej ilości, że po prostu nie mogłem ich zużyć. Również w 1941 r. ze strony Truppenwirtschaft można było otrzymać wielkie ilości bielizny, pończoch, nawet materiałów ubraniowych i wtedy kupiłem większą partię tych rzeczy. Papierosy, o których mówił świadek, które były również sprzedawane w kantynach dla więźniów, sprowadzałem całymi skrzyniami z tego przedsiębiorstwa kantynowego, ale za wszystkie, aż do ostatniego papierosa, musiałem zapłacić. Ani jeden papieros nie był mi ofiarowany. Ponieważ ja osobiście w tym czasie papierosów nie paliłem, wszystkie je rozdawałem.

Żeby moje dzieci nazywały Himmlera wujkiem Heinim, na to by się nigdy nie odważyły. Zdrobniałym imieniem Himmlera było Reichs Heini i tak określano go ogólnie w SS.

To, że rzekomo powieszono pewną niewiastę, tego wypadku sobie nie przypominam. Co moja żona miała by mieć z tym do czynienia, tego nie wiem.

Ogólnie co do tych środków żywnościowych chciałbym powiedzieć, że dysponowałem taką ilością środków żywnościowych, że jeden telefon to tzw. kierownika administracyjnego, względnie Engelbrechta wystarczyłby, żeby mi dano do dyspozycji wszelką ilość.

Nie rozumiem, po co moja żona miałaby się mieszać do stosunków obozowych. O czym moja żona rozmawiała ze świadkiem, tego nie wiem. W każdym razie ode mnie o sprawach służbowych niczego się nie dowiadywała. Że była poinformowana co do wypadków, które miały miejsce w obozie, a mianowicie co do akcji żydowskiej, to nic dziwnego, bo każdy, kto mieszkał przy obozie, musiał o tym wiedzieć.

Profesor Clauberg był kilkakrotnie w moim mieszkaniu, ponieważ leczył moją żonę przed urodzeniem piątego dziecka. Jednakże nigdy nie rozmawialiśmy wtedy o rzeczach służbowych w związku ze sterylizacją i stosunkami służbowymi.

Jeżeli chodzi o ogród, to można go było objąć okiem dokładnie tak z komendantury, jak z mojego mieszkania. To byłoby wszystko.

Przewodniczący: Czy świadek pozostaje przy swoich zeznaniach, nie zmienia?

Świadek: Nie mam nic do zeznania. Muszę powiedzieć, że o ile Höß twierdzi co innego niż ja, co do usiłowania rozstrzelania mnie, [o tyle] nie zgadzam się z nim. Są tutaj obecni na sali świadkowie, którzy mogą skonfrontować, że 172 było nas w tym dniu, oni wszyscy zostali rozstrzelani, a ja z moim kolegą wróciliśmy do pracy i nas to nie spotkało.

Prokurator Cyprian: W tym miejscu chcę oświadczyć – oskarżony zaprzecza kategorycznie, jakoby popełnił te rzeczy, o których mówił świadek. Nam jako oskarżeniemu nie zależy w tej chwili na nacisku na rozmaite drobne rzeczy, które się działy w obozie, bo to umniejszałyby wagę oskarżenia idącego o cztery miliony istot ludzkich i zmniejszałyby, byłoby umniejszeniem całej sprawy, gdybyśmy kładli główny nacisk na jakąś ilość mąki czy zabita świnia. Niemniej jednak zadaniem oskarżenia jest dotarcie do prawdy materialnej w każdej części. Wobec tego, że oskarżony przeczy zeznaniom świadka, ofiarowuję dowód ze świadka Tadeusza Pietrzykowskiego, więźnia nr 77, który pracował u oskarżonego jako służący, ażeby ten świadek nam powiedział, jak dalece dzisiejsze zeznania są ścisłe i o ile oskarżony mija się z prawdą, zaprzeczając tym okolicznościom. Pismo dotyczące tego zeznania składam do rąk pana przewodniczącego Wysokiego Trybunału, pozostawiając decyzje co do świadka w jego rękach.

Przewodniczący: Panowie obrońcy zapoznają się z treścią tego pisma i złożą oświadczenie może na następnym posiedzeniu. Trybunał poweźmie decyzje po zaznajomieniu się z tym oświadczeniem.

Adwokat Ostaszewski: Świadek oświadczył, że wtenczas, kiedy miał być rozstrzelany i dzięki przyjaznemu zbiegowi okoliczności nie został rozstrzelany, przyszedł do Hößa Grabner i była wielka kłótnia.

Świadek: Tak jest.

Adwokat Ostaszewski: Chodzi o to, że jeżeliby Höß miał tę władzę, o jakiej świadek mówił, to nie trzeba by było kłótni między Grabnerem i Hößem. Wystarczyłby rozkaz wydany przez

Hößa Grabnerowi. Jeżeli zaś była kłótnia, musiał być powód. Jak świadek tłumaczy sobie te kłótnie?

Świadek: Wtenczas była mowa o tym, że wyroki te zostały podpisane i więźniowie mieli być wydani do dyspozycji wydziału politycznego do wykończenia ich. Höß nie przypominał sobie albo nie znał mojego nazwiska i mojego numeru i nie wiedział, że podpisuje mój akt. Nadmienić tu trzeba, że kiedy mój poprzednik został rozstrzelany, oskarżony oświadczył, że gdyby był w stanie obronić mnie, to byłby mego poprzednika też obronił. W tym wypadku jednak z oświadczenia żony Hößa wiem, że Höß nie zorientował się, co się stało. Byli przy jedzeniu, kiedy oświadczone mu, że ogrodnik nie przyjdzie, bo został przeznaczony na rozstrzelanie. Żonie Hößa chodziło o niego, lubiła go, ale jak powiedziała, wtedy już było za późno. Za późno o tym oddział polityczny powiedział.

Adwokat Ostaszewski: Świadek nie odpowiada na pytanie. Mnie chodzi o to, żeby świadek konkretnie odpowiedział na pytanie – w sprawie kłótni między Grabnerem a Hößem. Jeżeli była kłótnia, to na jaki temat?

Świadek: Na temat, że Grabner żądał mnie i kolegi na rozstrzelanie.

Adwokat Ostaszewski: Czy miał prawo żądać?

Świadek: Z tego wynika, że tak.

Adwokat Ostaszewski: Teraz drugie pytanie. Jakie było wychowanie dzieci Hößa, czy były trzymane w jakimś specjalnym reżimie, czy też był to stosunek między dziećmi i ojcem, jak normalnie między rodzicami i dziećmi? Czy był jakiś specjalny rygor?

Świadek: Stosunek między Hößem a rodziną sprawiał wrażenie dobrego życia rodzinnego. Jeżeli chodzi o ich wychowanie moralne, to w moim pojęciu było złe.

Adwokat Ostaszewski: Mnie nie chodzi o wychowanie moralne, ale o to, czy był utrzymany pewnego rodzaju dystans, jak to u Niemców bywa, czy stosunek był familijny?

Świadek: Stosunek był familijny.

Adwokat Ostaszewski: Następne pytanie. Świadek widział dwa razy Himmlera, kiedy przyjeżdżał. Jakim typem człowieka był Himmler? Czy to był człowiek niedostępny, czy raczej chętnie rozmawiający?

Świadek: Z dwóch razy, kiedy Himmlera widziałem, po raz pierwszy byłem w ogrodzie, kiedy Himmler do mnie się odezwał, pytając, za co znajduję się w lagrze, skąd pochodzę? Pytał też w mojej obecności oskarżonego, jak się prowadzę. Na to oskarżony oświadczył: „Dodatnio”.

Adwokat Ostaszewski: Jeszcze jedno pytanie. Kto przysłał do Oświęcimia dr. Clauberga?

Świadek: Nie wiem.

Adwokat Ostaszewski: Jaki był stosunek Hößla do SS-manów? Świadek oświadczył, że co do tych oficerów, którzy składali życzenia, trzymał on ich na mrozie. Chodzi o to, czy stosunek Hößla do pozostałych SS-manów był przyjacielski, czy raczej nieprzyjazny?

Świadek: O ile ja widziałem, stosunek na terenie mieszkania czy obozu był zawsze bardzo sztywny. Utrzymywał się on w tonie rozkazującym i sztywnym.

Adwokat Umbreit: Świadek na początku swego zeznania wspomniał, że był również w tym samym charakterze zatrudniony u Fritzscha i Aumeiera. Czy długo świadek był zatrudniony u każdego z nich jako ogrodnik?

Świadek: U pierwszego Lagerführera, Fritzscha, byłem od wiosny do późnej jesieni. Nie mając cieplarni, a tym samym zatrudnienia dla ogrodnika na zimę, Fritzsch odesłał mnie do obozu do innego komanda i byłem sprzątającym biura w okresie zimowym. Kiedy zbliżała się znowu wiosna, Lagerführer Fritzsch powiedział Aumeierowi, że u niego pracowałem i Aumeier zawołał mnie i powiedział, że będę czyścić dalej biura, m.in. i biura Aumeiera, ale jak się wiosna zbliży, pójdę do tego samego ogrodu, w którym pracowałem u jego poprzednika. Tam jednak byłem tylko dwa tygodnie.

Adwokat Umbreit: Jak wynika z poprzednich zeznań Fritzscha, względnie Aumeiera byli to okrutnicy i sadyści. Czy w stosunku do personelu, który ich obsługiwał, też tak się zachowywali?

Świadek: Fritzsch pobił mnie parę razy za błahe rzeczy.

Adwokat Umbreit: To znaczy[, że] zachowanie oskarżonego Hößa było odmienne?

Świadek: Dla mnie osobiście było lepsze.

Adwokat Ostaszewski: Jeszcze jedno pytanie. Spośród innych SS-manów na terenie obozu, takich jak np. Aumeier – nie pamiętam nazwiska – widział świadek, jak oni wychowywali swoje dzieci, czy świadkowi nic nie wiadomo na ten temat?

Świadek: Słyszałem od kolegów warsztatowych, którzy niejednokrotnie przeprowadzali remonty i reperacje w mieszkaniach poszczególnych SS[-manów], że wychowanie dzieci w niektórych rodzinach odbywało się różnie. M.in. słyszałem, jak za drobne przewinienia niektórzy karali swoje dzieci. Był np. niejaki Emmerich...

Adwokat Ostaszewski: Właśnie o niego mi chodzi.

Świadek: ...który zamykał na pół dnia swoje dziecko w klatce jak gęś czy kurczę i trzymał je za karę na podwórzu.

Przewodniczący: Wobec przesłuchania świadków na dzień dzisiejszy mam zamiar odroczyć rozprawę.